TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50

DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 34. *Chicago, Ills., 18 Lutego, 1886 r.* Rok II.

OPACTWO CARROW

— PRZEZ —

J. F. SMITH

Z ANGIELSKIEGO

CZĘŚĆ DRUGA:

KWIAT ALOESU

(Ciąg dalszy.)

Remnant, było to nazwisko dzierżawcy, który uprawiał grunta stanowiące włości majątku Cromwell-House. Królikarz wiedział o tem i przestrach jego natychmiast się uśmierzył.

— Czy nie widzisz? — rzekł chłopczyna pokazując wielki klucz zardzewiały, który mu Will niezwłocznie wydarł z rąk. — Kto jest ta młoda niewiasta? — dodało dziecko.

Podczas kiedy Zuzia myślała korzystać z nadejścia chłopca, jej prześladowca nie wypuszczając z rąk malca, wywlókł go z izby, przeszedł przez dziedziniec i wyrzucił go na ulicę, zalecając mu surowo, by się nie odważył postać nogą w tym domu, bo gentleman, który go wynajął, nie cierpi obcych.

— Ależ ja nie obcy! — odpowiedział malec. Znam ten dom od czasu, jak nie byłem starszy od ostatniego cielęcia Brindly Bet. Moja matula mieszkała tu za życia starej pani.

Zamiast słuchać tych wyjaśnień, Will Side-

ler uderzył w twarz malca, aby go nauczyć, czego się może spodziewać, gdyby się kiedy odważył pokazać w zamku.

Gdy Will zamknął kratę, Red-Ralf (Rudy Ralf), jak go powszechnie we wsi nazywano, rzucił nań wzrok gniewu mrucząc, że potrafi wejść znowu wbrew jego woli.

I dotrzymał przyrzeczenia.

Nawykły od dzieciństwa wałęsać się w pobliżu Cromwell-House, Ralf nie podzielał zabobonnej obawy panującej między ubogim ludem w Mortlake. Powtarzał często swojemu gospodarzowi, że nigdy nie widział nic gorszego od siebie samego, że duchy nic mu złego nie robią, i doznawał tajemnej dumy, widząc u drugich przerażenie, które usiłował jeszcze bardziej rozpowszechnić. Żony ogrodników w okolicy traktowały go najlepszą szklaneczką piwa, aby im opowiadał straszne historye o Cromwell-House.

W tej chwili, kiedy Will wyszedł z izby służebnej, Zuzanna pospieszyła na górę do swojej młodej pani. Lecz zastała drzwi zamknięte.

— Otwórz, miss Elleno! — zawołała, — proszę cię, otwórz, na miłość Boga!

— To dla mnie niepodobieństwem, moje biedne dziewczę, — odpowiedziała jej nieszczęśliwa sierota, — jestem uwięziona, w ręku mojej najsroższej nieprzyjaciółki.

Ayah się uśmiechnęła. Milczenie, jakie Ellena zachowała dotąd względem swojej mamki, podburzało jeszcze bardziej namiętności rozkołysane Indyanki, która wskutek dziwnej sprzeczności ludzkiej natury, kochała tę, którą tak prześladowała i pragnęła nawzajem odzyskać jej przywiązanie. Ale kiedy usłyszała, że Ellena nazwała ją swoją najsroższą nieprzyjaciółką, zaćmiło się jej w oczach. Doznawszy tego bolesnego wrażenia, jeszcze nie dowierzała swym własnym uszom, czy ją nie omyliły.

— Jam twoja nieprzyjaciółka! — powtórzyła zwolna, — dla tego, że nie chcę, abyś się zhańbiła, oddając rękę chłopskiemu synowi! dla tego, że chcę cię widzieć bogatą i szczęśliwą!... Niechże i tak będzie! mogę i to znieść przez przywiązanie dla ciebie!

Dawno jej pani nie znajdowała potrzeby odpowiedzieć cokolwiek. Sądziła, że zdradziłaby Henryka, usprawiedliwiając swój wybór w obec tej kobiety.

W tem dał się słyszeć chód ciężki na schodach, był to Will Sideler. Serce biednej Zuzi struchlało z przestrachu i wstrętu. Schwyciwszy za klamkę u drzwi, błagała by ją wpuszczono.

— Otwórz, zlituj się! — mówiła do Zary. — Niewiasto, miej litość nademną! Nigdym cię nie obraziła, za cóż chcesz mi życie zatruć? Litości! Oh!...

Głośny krzyk po tych słowach zapowiedział, że prześladowca już pochwycił Zuzannę. Nie przestawała trzymać się drzwi z całej siły. Zara stała nieruchoma w pokoju.

Rysy twarzy Elleny zmieniły się okropnie, zdradzając jej boleść z powodu, że nie była w możności udzielić pomocy swojej pokornej przyjaciółce. Duma i niechęć jej ustąpiły z serca przed niebezpieczeństwem grożącem biednej dziewczynie, której wołania rozpaczliwe mięszały się z przekleństwami rozwścieczonego Willa Sidelera. Rzuciła się do nóg swojej mamce, by jej pośrednictwa błagać; ale słowa zamarły jej w gardle, i wydając łkanie, które zdawało się ostatniem pękającego serca, padła zemdlona na posadzkę. Ayah podniosła ją i ujrzała z przerażeniem, że krew buchnęła z ust Elleny.

Z szybkością błyskawicy zaniosła nieszczęśliwą panienkę na łóżko i pobiegła otworzyć drzwi pokoju. Już łotr zawlókł swoją ofiarę do połowy wschodów. Zuzanna czepiała się co sił starczyło rzeźbionej poręczy dębowej. Will kilkakrotnie ją uderzył, by ją tym sposobem zmusić do puszczenia tej ostatniej podpory. W chwili, kiedy ją unosił do dolnej sali, Zara stanęła przed nim. Pomimo swojego nieograniczonego poświęcenia dla zamysłów Miran-Hafaza, serce jej nie było jeszcze całkiem spodlone, i doznała oburzenia, ujrzawszy w jakim stanie znajdowała się Zuzanna.

— No! i cóż tam takiego? — mruknął nędznik.

— Szalony! czy na to pan twój zakupił twoją duszę i ciało, obsypał cię złotem, któreby wystarczyło na zapłacenie sumienia bramina?

— Ona szpieguje nas! — szepnął Will.

— Ależ to niewiasta! — odparła Zara.

— A któż jest ta, którą tam na górze więzisz? — zapytał łotr zuchwale. — Czyż tamta nie jest także piękna, młoda, wątła, niezdolna, by się obronić? Ja nie czynię nic gorszego jak ten, któremu oboje służymy!

Już po raz drugi w tym samym domu, ujrzała ayah swoje postępowanie względem Elleny odwzorowane niby w źwierciadle; już drugi raz zmuszoną była zastanowić się nad upadkiem moralnym, do jakiego dała się pociągnąć zwolna, krok za krokiem; nauka ta nie została dla niej straconą.

— Ty nie możesz osądzać moich pobudek! — rzekła do królikarza.

— Ani też ty moich! — odparł tenże. — Nie tyle zależy mi na tej dziewczynie, jak raczej nienawidzę jej kochanka, który mnie uderzył, znieważył, wyśmiał i poważył się grozić!... Przysiągłem mu, że się mścić będę, i dotrzymam mojej przysięgi! Najlepiej tedy postąpisz, — rzekł nieco spokojniej, zbliżając się znowu do Zuzi, która bez tchu prawie tuliła się do Indyanki, — zostawiając mi tę dziewczynę, a sama wracaj zająć się tą, którą twej straży tam na górze pozostawiono.

— Wyswobódź mnie z rąk jego, — szepnęła biedna Zuzia, — ty jesteś moją jedyną nadzieją ocalenia!

— Uspokój się, — odpowiedziała Zara, — chociaż nie mam powodu sprzyjać ci, boś mnie wyparła z serca mojej drogiej Elleny!... Precz ztąd niecnoto! precz ztąd! — dodała zwracając się do Willa Sidelera, — tylko ręką ją dotknij, a zabiję cię ak tygrysa wśród stepu, albo gadzinę, którąbym u nóg spotkała!

Nie pierwszy to raz Will Sideler widział lśniący i ostry brzeszczot, który ayah w ręku trzymała; nigdy bowiem nie wychodziła bez broni, jak to już mieliśmy sposobność wyżej powiedzieć. Nędznik znał jej odwagę i nie wątpił, że umiałaby użyć swojego puginału.

Oddalił się przeto mrucząc ciągle pod nosem, ale nie wyrzekł się nadziei zniszczenia szczęścia nieprzyjaznego mu Joego Beans i niewinnej Zuzanny.

Wróciwszy do pokoju miss Elleny, ayah i Zuzia zajęły się natychmiast ocuceniem biednej sieroty, która zdawała się życia pozbawioną.

Wszelako dużo upłynęło czasu nim skutek odpowiedział ich usiłowaniom. Kiedy nareszcie przywrócono ją do życia, pokazało się że umysł jej ucierpiał wstrząśnienie tak silne, że nie łatwem było uspokoić ją całkowicie. Na widok Zary zaczęła głośno krzyczeć, ukryła twarz na łonie Zuzanny, wzywając na pomoc swojego zamordowanego wuja i Henryka. Za każdym razem, kiedy ayah zbliżyła się troskliwie dla przyniesienia jej ulgi, paroksyzm gorączki powracał, i Zara musiała spoglądać tylko zdaleka na tę, którą wypielęgnowała na swojem łonie, a która teraz od innej osoby przyjmowała te usługi, jakie mamka tak szczerze pragnęłaby jej sama oddawać.

Gniewna sama na siebie, odsunęła się na bok i usiadłszy, spoglądała na obie młode dziewczęta. Tymczasem krzyki biednej Elleny wzmagały się, coraz niezrozumialsze wymawiała wyrazy, a wzrok jej stawał się dzikszy i coraz bardziej obłąkany. Dostała gorączki mózgowej.

Zuzanna była pogrążona w rozpaczy; ayah doznawała zgryzoty sumienia.

W tem dały się słyszeć lekkie kroki na wschodach. Chora natychmiast poznała chód Mirana. Wydając krzyk przenikliwy, wydarła się z rąk Zuzanny i byłaby przez okno wyskoczyła, by uciec przed nim, gdyby ayah nie wstrzymała ją w biegu i nie zaniosła na łóżko zupełnie już bezwładną.

Na szczęście występna ta kobieta zachowała wszelką przytomność umysłu. Poleciwszy chorą opiece Zuzanny, wyszła z komnaty w sam czas, aby uprzedzić wejście Indyanina. Położywszy palec na ustach, nakazując milczenie, dała mu znak, aby się oddalił. Młodzian uległ jej żądaniu z niemałem zadziwieniem.

— Co to się stało? — zapytał z trwogą.

— Pies chciał polować na własną korzyść, — odpowiedziała Zara obrazowym sposobem, zwyczajnym u ludów wschodnich, — i przestraszył łanię przeznaczoną dla jego pana.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

Kilku słowy opowiedziała mu, co się wydarzyło, o zbrodniczym zamachu Willa Sidelera, o niebezpieczeństwie Zuzanny, i o grożącem niebezpieczeństwie tej, która była przedmiotem jego prześladowania i szalonej miłości.

Twarz Indyanina zwykle tak spokojna, zarumieniła się od gniewu. Dumny młodzian uczuł gorzko nikczemność wspólnictwa, do jakiego zły duch jego tak fatalnie pociągnął.

Szczęściem dla Sidelera, że nie był obecnym przy tym burzliwym wybuchu; pewnie byłby padł ofiarą tego uniesienia.

— Ten pies! — zawołał młody Iudyanin, — ten nędznik! zdepcę go tak, że tchu nie po-

zostanie w jego obrzydłem cielsku, a trup jego zgnije na słomie!

— Nie ośmielisz się tego uczynić! — rzekła Zara spokojnie.

— Dla czegożbym nie śmiał? — zapytał Miran wzgardliwie.

— Jesteś w jego ręku!... Oh! dałyby Nieba, aby moja Ellena nigdy nie była ujrzała tej przeklętej krainy! Gdyby była została w Indyi, jej młodociane serce nigdyby nie zaznało innej miłości! ty nie byłbyś popełnił zbrodni, ani się narażał na niebezpieczeństwa, a ja byłabym znalazła szczęście, widząc wasz związek, który już teraz, niestety! wydaje mi się marzeniem, i to marzeniem bez nadziei ziszczenia się kiedykolwiek!

Miran patrzał na nią przez chwilę podejrzliwie.

— To marzenie musi się spełnić! — zawołał, spiesząc ku wschodom wiodącym do pokoju Elleny.

— Jedyna ręka, która temu przeszkodzić mogła, stanęła pomiędzy wami! — rzekła Indyanka.

— Czyja ręka?

— Dłoń śmierci! Już cienie jej rozpościerają się nad Elleną. Na szelest kroków twoich skoczyła z łóżka, by przed tobą w grób uciec. Byłaby wyskoczyła przez okno, gdybym ją wczas nie zatrzymała. Obecność twoja zada jej cios śmiertelny.

Na te słowa Miran-Hafaz, w którym nie wygasło jeszcze szlachetniejsze uczucie, uczuł, jak mu się serce ścisnęło z boleści. Przekonał się, jak silną była miłość Elleny dla jego rywala i uznawał, jak mało zostało mu nadziei zatarcia w niej tego przywiązania; to przekonanie było początkiem jego kary.

Ellena leżała chora, cierpiącą, konająca może; a on nie śmiał ją odwiedzić z obawy zerwania pajęczej nitki, która ją jeszcze zachowywała przy życiu! Ukrył w dłoniach oblicze dla utajenia łez, które mimo wrodzonej pychy, potoczyły się jak krople roztopionego ołowiu po jego licach.

Ayah rozczuliła się na widok jego strapienia. W tej chwili obca była podszeptom własnego serca; lub jeżeli je słyszała, nie pojmowała ich wcale.

— Należy ją ocalić! — zawołał Miran, — za jakąbądź cenę!

— Spuść się na mnie, — rzekła. — Wiadomo ci, że znam własności ziół i roślin. Czuwałam często przy łożu drogich osób, więc umiem rozeznać znamiona blizkiej śmierci: zaćmienie wzroku, nieregularność tętna, wilgotność oddechu. Jeżeli się okażą te zjawiska...

— Poszlij natychmiast po najzdolniejszego lekarza! — przerwał jej Miran. — Noc i dzień koń osiodłany będzie stał w stajni. Zostawię ci Zudaga (tak się nazywał młody Hindustanin, któregośmy już nieraz widzieli w służbie przybocznej Mirana), albo raczej ja sam polecę sprowadzić pomoc.

I wybiegł jak szalony, by nakazać przygotowanie do odjazdu.

— On jest jej godnym! — szepnęła ayah, patrząc z czułością za odchodzącym, — i nigdy kto inny nie zostanie jej mężem!...

Po tych słowach wróciła do sypialni Elleny.

V.

Wyjechawszy z Mortlake, Miran-Hafaz był w stanie równie pożałowania godnym jak jego ofiara. Serce mu się rozdzierało na wspomnienie niebezpieczeństwa, które wisiało nad ukochaną dziewicą. Czy śmierć przyjdzie mu wydrzeć przedmiot jego namiętnej miłości?...

Pułkownik Mowbray i jego żona znajdowali się w swoim salonie w Londynie, kiedy młody Indyanin zjawił się przed nimi z wejrzeniem obłąkanem i oczyma krwią zabiegłemi. Kobieta bez serca zadrżała nawet na widok zmiany, jaka w nim zaszła w przeciągu kilku godzin, i zapytała skwapliwie, co mu się stało?

— Ellena umiera! — zawołał Miran ochrypłym głosem, — zabiliśmy ją!

Upadł na krzesło bezsilny. Pułkownik zbliżył się i szepnął mu kilka słów do ucha. Młodzian wzdrygnął się, jakby usłyszał syk węża.

— Nie uczynię tego! — krzyknął, — za jakąż poczwarę mnie trzymasz? Pragnąłbym pozyskać jej miłość, ale nie zniszczyć woń kwiatu, który uwielbiam! Jeszcze nie jestem tak podłą istotą, jak sobie wyobrażałeś w twojej nikczemności! Ellena nie potrzebuje obawiać się żadnego gwałtu z mojej strony! Jest bezpieczną jak dziecię w objęciach swojej mamki, — dodał ze łzami, — bezpieczna jak anioł w świętym Boga przybytku!

— Jakżeś pan poetyczny! — rzekła lady Mowbray z szyderstwem. — Skrucha pańska jest zaiste ustępem godnym tej romantycznej miłości. Dla czego nie zrzec się zaraz Elleny? Czemuż nie sprowadzisz z Włoch twojego szczęśliwego współzalotnika, aby ich połączyć niezwłocznie, a potem zabić się u nóg ich? A przynajmniej, czemuż nie wracasz do Indyi rozsądniejszy, jeżeli nie szczęśliwszy, niżeliś przyjechał?

To wspomnienie tyczące się Henryka Ashton, obudziło na nowo żmiję zazdrości drzemiącą w sercu Mirana. Przewrotna kobieta dotknęła najboleśniejszej strony, a odpowiedź jego stosowała się teraz do jej życzenia.

— Nigdy! — zawołał Indyanin z goryczą, — nigdy do tego nie przyjdzie! Wolałbym ją widzieć umarłą, jak w objęciach tego człowieka. Boleść utracenia jej byłaby niczem w porównaniu z tą katuszą, jakąbym doznawał widząc ją żoną innego. Moja głowa płonie! jestem nieszczęśliwy! szalony zupełnie! Zlitujcie się nademną! dajcie mi radę i pociechę!

Właśnie do tego stanu chciała go lady Mowbray przywieść. Chorobę Elleny uważała za napad chwilowego osłabienia, które kilkodniowy spoczynek niezawodnie uśmierzy; usiłowała nawet, lecz bezskutecznie, wmówić w niego, że to tylko udana słabość być musi.

Gdy odeszła, pułkownik rzekł do Mirana:

— Znam człowieka, którego zdolność lekarska jest niewątpliwa! ale charakter jego bardzo jest podejrzliwy. Za złoto gotów jest podjąć się wszystkiego tak dobrej jak i złej czynności... nie dba o to, bylebyś zaspokoił jego chciwość!

— Gdzie on mieszka?

— W nędznej ulicy, niedaleko urzędu jałmużniczego. Zapomniałem jak się nazywa, ale wiem gdzie go znaleźć.

Miran w swojej niecierpliwości nie mógł znieść chwili spóźnienia. Pojazd jego stał właśnie przed domem, i po upływie kilku minut, on i pułkownik udali się w drogę do francuzkiego doktora, jak go pospolicie nazywano w pobliżu jego mieszkania.

Nim dojechali do gmachu jałmużnictwa, wysiedli by przejść piechotą wązkie uliczki tej niezdrowej dzielnicy miasta, która do dziś dnia w części zniknęła, ustępując miejsca wygodniejszym zabudowaniom. Pułkownik szedł bez wahania aż do małego domku o staroświeckich oknach i tak pyłem okrytych, że najbystrzejsze oko nie potrafiłoby nic przez nie dojrzeć.

Kilka słojów napełnionych jakiemiś różnobarwnemi płynami, wąż pływający w spirytusie i głowa jakiegoś naczelnika z Nowej Zelandyi, były jedynemi godłami tego, który zajmował to pomieszkanie. Nazwisko jego nie było nawet na drzwiach wypisane, chociaż znane było wielu osobom mieszkającym w złoconych pałacach i rozkazującym licznej służbie w liberyi: występek bowiem do najznakomitszych częstokroć prowadzi znajomości.

— Gdzie twój pan? — zapytał pułkownik Mowbray młodego chłopaka zajętego rozcieraniem w moździerzu jakiegoś przyrządu lekarskiego.

— Jest w swoim gabinecie z jakąś damą.

— Idź i powiedz, że pragnę się z nim widzieć.

— Tego nie ośmielę się uczynić.

— A dla czegoż nie?

— Bo mi zakazał. Miewa on wiele gości jak pan, ale nie codzień odwiedzają go prawdziwe damy z wielkiego świata, które złotem płacą mu za przysługi oddane. Jest człowiek cudownie zręczny, a wszyscy inni lekarze zazdroszczą mu.

Tak czekali pół godziny, co dla Mirana wiecznością się zdawało, aż się pokazała pargaminowa twarz doktora Guyot, a za nim wyszła niewiasta, której bogaty ubiór zdradzał wysokie stanowisko społeczne. Chociaż sklepik tak był ciemny, że trudno ją byłoby rozpoznać, a oprócz tego gęsta zasłona okrywała jej rysy, jeszcze skwapliwie chustkę położyła do twarzy.

— Oto rączka osoby, która pewno nie z gminu pochodzi, — szepnął pułkownik do swego towarzysza.

— Teraz moi panowie, — przemówił właściciel tego osobliwszego zakładu, — czego sobie życzycie odemnie?

— Porady lekarskiej.

— Czy na osobności?

— Tak jest... a nie pożałujesz pan straconego na to czasu.

Doktor Guyot wprowadził ich do gabinetu, z którego przed chwilą wyszedł, zamknął starannie drzwi, dzielące ich od sklepiku, potém usiadł spokojnie, z miną człowieka, oczekującego ważnych zwierzeń.

— Nie wyjeżdżam nigdy w celu zwiedzania pacyentów, — odrzekł, gdy mu Indyanin opowiedział niebezpieczeństwo Elleny i rodzaj jej cierpienia, — to się sprzeciwia moim zwyczajom.

— Jakaż kwota skłoniłaby pana do tego? — zapytał Miran z gniewem.

— Nie wiem, — odparł lekarz.

Był to tylko wybieg dla podwyższenia ceny swych usług, bo na powtórzone nalegania młodziana, stary doktor wymienił nareszcie żądaną sumę.

— Dam w dwójnasób to coś pan zażądał! — zawołał Miran uradowany, — bylem mógł spuścić się na pańskie milczenie.

— Pod tym względem bądź pan spokojny! — zawołał lekarz z uśmiechem, podobnym do gdakania, bo nadzieja znacznego zysku do wesołości go usposobiła; — grób wydałby prędzej tajemnicę, niż ja. Znaleziono sposób dojścia ukrytych zdarzeń po trupie gnijącym, lub popiołach ludzkich; ale co do mnie, moje tajemnice tam są zamknięte, w mózgu! Nie powierzam ich nigdy sercu mojemu, bo serce ludzkie ulega słabości... Ale do czego przydadzą się słowa? Pan wiesz, iż możesz mi zaufać, inaczej nie byłbyś się do mnie udał.

— A jakże miałbym o tem wiedzieć? — zapytał go Miran, zdziwiony dziwacznością jego mowy i obejścia.

— On widzi że z tobą jestem, rzekł mu pułkownik, — a my starzy znajomi, Guyot i ja... nieprawdaż stara mumio?

— Kiedyś pan tak łaskaw przypomnieć sobie naszą znajomość, pułkowniku Mowbray, — odparł stary z udaną pokorą, — przyznaję, żeśmy starzy znajomi, tak dawni, że prawie już zapomniałem, kiedyśmy się po raz pierwszy ujrzeli.

Do tej chwili trudno byłoby domyśleć się, że lekarz widział kiedykolwiek jednego z przybyłych. Był to dowód dostateczny; Miran był teraz przekonany, że mu ufać może.

— Muszę tylko dać pewne zlecenia mojemu pomocnikowi, i zabrać z sobą niektóre leki, — rzekł lekarz, — poczem jestem do usług pańskich... spodziewam się, że pan masz powóz w pobliżu, bo chodzić nie lubię.

Po upływie pół godziny, powrócił gotowy do podróży. Towarzyszył mu jakiś człowiek starannie płaszczem owinięty, którego odprowadził do drzwi sklepu, poczem ten się oddalił.

— Jakiś słaby zapewne? — spytał pułkownik niedbale.

— Nie, to uczeń, pałający osobliwszą żądzą wykonania kuracyi jednej choroby, jednej tylko, — odpowiedział stary.

— Jakże się on nazywa? — rzekł Miran.

— Nie wiem tego.

— Zkąd rodem?

— To mi również niewiadomo; wiadomości, jakie posiada, są rozliczne, mówi różnemi językami, w wielu krajach się uczył i nabył mądrości różnych narodów. Gdybym próbował jakiego przypuszczenia, myślałbym że pochodzi...

— Ze wschodu? — przerwał Miran z gorycą, bo zdawało mu się, że w tajemniczym uczniu doktora, poznał Khana, który nie chciał mu nadal służyć z powodu jego złych zamiarów.

— Nie, — odrzekł Guyot, nie drgnąwszy, ani okazawszy żadnego zdziwienia, — ale z Włoch. Jego bystry umysł i cała osobistość, mają owe cechy charakterystyczne tego plemienia, które niegdyś nałożyło jarzmo zaboru całemu światu, a następnie jarzmo zabobonów... Tak, tak, musi z Włoch pochodzić! — dodał, niby ważąc swe przypuszczenia za i przeciw.

Rozmowa na tem stanęła. Miran udał, lub istotnie został przekonany. Chęć odkrycia zamysłów dawnego przyjaciela, ustąpiła teraz przed niepokojem, jaki w nim niebezpieczeństwo Elleny obudziło. Zresztą był uspokojony przysięgą Khana, którą mu uczynił przy pożegnaniu. Przysiągł bowiem, że nie skrzyżuje w niczem jego dążeń; byleby te nie przeskoczyły pewnych granic.

VI.

Kiedy Miran-Hafaz powrócił do Mortlake w towarzystwie pułkownika Mowbray i doktora Guyot, Ellena znajdowała się w zupełnem obłąkaniu. Ayah siedziała w niejakiej odległości od łóżka, wlepiwszy wzrok struchlały w twarz swej ofiary. Kilkakrotnie zbliżyła się, z wyrazami najczulszej pieszczoty na ustach, by podnieść jej ociężałą główkę, lub podać napój chłodzący, ale za każdym razem odepchnęły ją krzyki żałosne młodej panienki, która czepiając się Zuzanny

szalonym przestrachem, zaklinała ją, by ją zasłoniła przed okrutną Zarą.

— Ona mnie zabije! — wołała w gorączkowem obłąkaniu, — jak już zabiła mego drogiego wuja i biednego Henryka!... Biada mi! lepiej dla mnie umrzeć, niż dłużej tak cierpieć! Może w grobie razem szczęśliwsi będziemy... tam nas już Miran nie znajdzie!

Następnie wyciągała rękę w chęci wypicia trucizny, którą w jej przekonaniu ayah dla niej przysposobiła.

Indyanka odwracała się w ówczas boleśnie dotknięta, widząc jaki wstręt Ellena do niej czuła. Razu jednego zdało się Zuzi, że łzę ayah ocierała w oku, ale była to tylko chwilowa słabostka, jakieś mimowolne wezbranie uczuć, które mimo wszelkiej umiejętności panowania nad sobą, przypomina, żeśmy ludzie. Po chwili twarz jej przybrała znowu ten pozór skamieniałej nieruchomości, i siadała opodal od łoża chorej, licząc godziny i minuty do powrotu Mirana.

Doktor Guyot stanął w progu na chwilę by sobie zdać sprawę ze stanu rzeczy, jak twierdził. Nim przybliżył się do łóżka, skinął na przybyłych z nim towarzyszów, by się oddalili.

— Ależ, pan nie wiesz jeszcze... — zaczął młody Indyanin.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

GAWĘDZIARZ.

OSTATNI FIGIEL PANA JACENTEGO BYŁ NAJLEPSZY.

Pan Jacenty Płużyński, dziedzic dwóch ładnych wiosek, był bezżennym, a że czas pewien sprawował urząd sędziowski, zwali go powszechnie sąsiedzi Sędzią. To wszystko nie ma jednakze tyle znaczenia, aby ,,Gawędziarz" zajmował się szanowną osobą. Dodać należy, że to był figlarz, jakich mało; któremu nie dość że się dowcipy sypały, jak z rękawa, ale umiał on nadewszystko płatać figle sąsiadom i niesąsiadom.

Już w chłopięcych latach słynął z figlarstwa. Zimą podczas cienkiego lodu, kiedy się jego koledzy ślizgali, trzasnął w lód nieraz, aż się zarwał, a chociaż przy tej sposobności sam się zmoczył, bawiło go to wielce, kiedy biedni chłopcy krzyczeli w niebogłosy. Latem znowu podczas kąpieli zabierał rzeczy współuczniom i podobne wyprawiał awantury. Nieraz za to zapoznał się z dyscypliną, lub wędrował do karceresu, ale Jacuś był niepoprawny. Później na wszechnicy i w sądzie powtarzało się to samo.

Osiadłszy we wsi, zaczął płatanie figli na wielki rozmiar. Sąsiedzi cieszyli się z jego figielków, mianowicie gdy ktoś inny oberwał, ale z drugiej strony mieli przed nim obawę, ponieważ każdy mógł się spodziewać, że go spotka jaka przygoda od pana Jacentego. Z drugiej strony lubili go wszyscy, gdyż był gościnnym, pomagał chętnie w niedoli, brał gorliwy udział w pracach obywatelskich, obchodził się dobrze z ludźmi, nawet posiadał względy księdza proboszcza, bo wypełniał wiernie obowiązki religii katolickiej. Gdyby nie owe figle, które czasem

były za dotkliwe, pan Jacenty przedstawiałby wzór ziemianina. Trzeba wiedzieć, że pan Jacenty był zawziętym nieprzyjacielem obczyzny, a mianowicie nie cierpiał niemieckich zwyczajów i francuzczyzny. Ślafrok, peruka, pachnidła, frak, binokle, angielskie konie, mody zagraniczne itd. mogły go doprowadzić do wściekłości. Lubił on powtarzać, że lepsza jedna polska wada, niż sto niemieckich cnót, na co oczywiście zgodzić się nie można.

Łatwo pojąć, że szczególnym celem jego pocisków był sąsiad, Wilhelm Klappermajer, Niemiec, jak nazwisko pokazuje, ale przy tem człowiek poczciwy, pracowity i zawołany rolnik. Ożenił się z Polką, a trzy córki wychował po polsku. To wszystko nic nie pomogło, gdyż pan Jacenty powziął ku niemu niechęć, którą objawił różnemi figlami. Pan Wilhelm co prawda chodził chętnie w ślafroku i fraku, mówił źle po polsku i wyrażał się czasem z pogardą o polskiej lekkomyślności, o marnotrawstwie i o różnych naszych wadach. Tego nie mógł mu pan Jacenty darować.

Pan Klappermajer, (nazwisko trochę za długie, gdyż możnaby niem bezpiecznie obdzielić dwóch śmiertelników), figlami pana Płużyńskiego rozdraźniony, wytoczył swemu przeciwnikowi proces sądowy. Dałże sobie przecież nie chleba, gdyż przez to poruszył niejako gniazdo szerszeni. Jacenty, jako prawnik, posiadał liczne w sądzie znajomości, a że lubił odświeżać je węgrzynem, więc sędziowie jego sprawę popierali, o ile się dało. Sprawa dla tego toczyła się trzy lata, aż zakończono ją przez sąd obywatelski.

Na pierwszy termin jedzie do miasta pan Wilhelm, aliści dwóch sędziów zachorowało, zatem termin odroczony. Drugi raz zachorował pan Jacenty. Trzeci raz naprawiano most, przez który miał przejeżdżać pan Klappermajer, oczywiście że Płużyński stawił się na termin, a że przeciwnik był nieobecnym, skargę oddalono. Dopieroż trzeba było skargę na nowo wytaczać, dowodzić, że ów most umyślnie naprawiano, żeby skarżący nie mógł na czas zjechać itd. Innym razem stangret niby przypadkiem pobłądził z panem Wilhelmem, że znowu na termin się spóźnił i tak wciąż podobnie się działo, aż się wreszcie sprzykrzył proces Klappermajerowi i dla tego poddał się pod sąd obywatelski. Pan Płużyński zapłacił 100 złotych na ubogich, przeprosił swego przeciwnika i na pewien czas zapanowała między niemi zgoda.

I innym sąsiadom dały się potężnie w znaki figle Sędziego. Pan Owczyński sprawił sobie nowomodne pługi. W południe, gdy ludzie poszli do domu na obiad, wpadł pan Jacenty ze swymi dobranymi i pługi zakopał. Przychodzą rataje z obiadu, a tu pługów nie ma. Dalej do pana i ekonoma. Gdzie pługi? przecież to nie szpilka, aż gdy ktoś z obecnych zwrócił uwagę, że świeżo ziemia poruszona, zaczęto kopać i wydobyto pługi na wierzch.

Inny obywatel kazał sobie urządzić przed domem piękny ogródek z klombami itd. na sposób francuzki. Pewnej nocy słyszy ów obywatel turkot jakoby bryczki, zawracającej przed jego dworkiem, a potem odjeżdżającej. Powtarzało się to kilka razy. Nazajutrz rano wyjaśniła się ta zagadka, gdyż pan Sędzia stratował swą bryczką wszystkie klomby i zagony.

W sąsiedztwie mieszkał pan Skopiński, sknera jakich mało, a jednak go nasz figlarz spowodował do wydatku, a raczej wystawienia weksla na 10,000 złotych, nawet nastąpiła dotkliwsza strata, ale o tem potem.

Pan Jacenty pojechał do pana Skopińskiego w odwiedziny. „A witajże mi sąsiedzie," zawołał wesoło, „już mi tęschno za tobą, a więc przyjeżdżam cię odwiedzić, bo gdy ujrzę twoje szanowne oblicze, dreszcz radosny przenika me serce."

Pan Skopiński się krztusił, narzekał na ciężkie czasy, że zboże nie płaci, podatki wielkie itd. Na to Płużyński: „Ej co tam, panie sąsiedzie, najlepiej po prostu z mostu, z góry na pazury. Powiedz otwarcie, że zal ci poczęstować mnie butelką wina, a może go nawet nie masz. Otóż ja przywiozłem ze sobą dwie butelki, może je wysuszymy na twoje zdrowie, a potem przedłożę sprawę dla której tu przybyłem".

Sknera aż zadrżał z radości, że tanim kosztem napije się wina. Węgrzyn był wyśmienity, przeto i gawędka wesoło się toczyła, a Skopiński tak się rozruchał, że kazał nawet podać przekąskę, co mu się bardzo rzadko zdarzało.

— Ot wiesz co sąsiedzie, rzecze Sędzia, możesz zarobić odemnie z tysiąc złotych a może i więcej".

Skopiński: Wielka łaska pana sąsiada, oh!

tysiąc złotych dla mnie biedaka, to istne błogosławieństwo niebios.

Płużyński: Ot pleciesz, panie Skopiński, przecież wiemy o twych listach zastawnych, a co mówi beczułka pękata w sklepie, czy już pełna?

Skopiński aż zbladł z przestrachu, gdyż nie przypuszczał, że tajemnica o beczce, w której składał pieniądze, już się rozniosła. Pan Jacenty tak długo manewrował, aż od starej gospodyni, także wielkiej skąpicy, dowiedział się o owej beczce, oczywiście za dobrem wynagrodzeniem.

Płużyński: To nic, panie sąsiedzie, beczka beczką, otóż wypijmy na jej powiększenie, aby się wkrótce zapełniła samem złotem, a więc ja, stary szlachcic polski, chętnie się do tego przyczyniam, wołając, jak ów niegdyś skarbek przed cesarzem niemieckim: Idź złoto do złota, tj. wy moje szanowne złotówki idźcie do beczułki pana sąsiada i dobrodzieja. Otóż interes jest taki: tam gdzie się nasze granice stykają przy starej gruszy leży pustkowie, może z trzy morgi zawierające, które panu sąsiadowi żadnego nie przynosi pożytku, a że wchodzi klinem w moję posiadłość i mam pewne zamiary co do tego pustkowia, przeto chcę kupić i ofiaruję 1,000 złotych.

Skopiński, choć już miał głowę winem rozgrzaną, przecież w pieniężnych sprawach był zawsze nader ostrożnym. To też zaczął wywijać kominki, aby dostać więcej. Pan Jacenty się zapalił i ofiarował 1,500 złotych, a wkrótce 2,000 złotych chciał płacić.

Sknera zwłóczył, że się musi namyślić, po radzić rzecznika, że to mało itd.

— Dobrze, — powiada Sędzia, — jutro lub pojutrze przyjadę, a zapewne dobijemy interesu.

Nazajutrz dowiaduje się Skopiński, że pan Jacenty już od kilku dni owo pustkowie obchodził i że nawet tam kopał w ziemi. Ekonom dodał, że niezawodnie w tem miejscu jakieś skarby się znajdują. Zaczęto się przyglądać, szukać, a wnet ekonom znalazł kilka starych monet, kawałki gipsu, marmuru i różne błyszczące kawałki ziemi kruszcowej.

Sknera opowiedział, że Sędzia chce kupić pustkowie. Ekonom odradzał, bo tam zapewne znajdują się wielkie skarby, trzebaby tylko biegłego człowieka, któryby zbadał owo pustkowie. Sknera postanowił nie sprzedać tego kawałka ziemi.

Nad wieczór zajechał jakiś młody podróżny do Skopińskiego, pytając się o drogę do pana Sędzi. Usłużny ekonom zjawił się jak na zawołanie i poprosił nieznajomego, aby nieco odpoczął w gościnnym domu. Młodzieniec chętnie się zgodził, gdyż konie były wielce znużone. W toku rozmowy zapytał się tenże od niechcenia o pustkowie przy starej gruszy. Ekonom trącił swego pana łokciem, a potem tak zaczął zręcznie badać, że podróżny wygadał się o celu podróży, że jedzie do pana Sędziego, aby oglądać jakieś pustkowie. Przedstawił się, jako Karol Pogodziński, inżynier i górnik. Kiedy mu pokazano znalezione na pustkowiu monety i kawałki kopalin, okazał wielkie zadziwienie, zaczął tłuc przedmioty młotkiem, a potem chciał zaraz jechać do pana Jacentego, ledwie że go ekonom zatrzymał. Pogodziński oświadczył, że tam niezawodnie znajdują się cenne minerały i dla tego chce Sędzia pustkowie kupić.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

DZIECI WDOWY.

POWIEŚĆ MORALNA.

— DLA —

DOJRZAŁEJ MŁODZIEŻY.

ROZDZIAŁ I.

Dziatki wdowy doświadczonej.

Podczas wojny trzydziestoletniej żyła w kantonie Lucern, niedaleko skalistych wybrzeży jeziora Vierwaldstaedt, Pani Sternburg, która ze swemi dziećmi Edwardem i Maryą szczupły w pewnej wiosce zamieszkiwała domeczek. Mąż jej walczył jako rotmistrz pod dowództwem Tyllego i Wallensteina przeciw królowi szwedzkiemu, który olbrzymim postępując krokiem, na skrzydłach zwycięztwa, jedną po drugiej zdobywał twierdzę i już do środkowych wkraczał Niemiec. Pod Lipskiem stanęli Szwedzi z jednej, Austryacy z drugiej strony. Z największą zacietością rzuciły się oba wojska na siebie — tutaj to Gustaw Adolf doświadczał oręża ze swymi Szwedami na hufcach cesarskich. Adolf zwyciężył; obszerne pole krwią zbroczone i niezliczona moc poległych, świadczyły o zażartym boju — i pan Sternburg znajdował się między ostatniemi. Szwedzi wszystko pustosząc i paląc, niszczyli zbiory uciemiężonych rolników. Tysiące miast i wsi w gruzach leżało. Żadne mury nie były dla nich niedostępne, żadna rzeka za bystra; na samo imię ich króla drżeli często nieprzyjaciele. Nad rzeką Menem powiewały już Szwedzkie sztandary, niższy tylko Palatynat był jeszcze wolny. Hiszpanie i Lotaryńczykowie ustąpili za Ren i Mozellę, a Szwedzi i Hessowie rozlali się jak potop niszczący po ziemi moguńckiej, wyrcburskiej i bamberskiej.

W tym to czasie powszechnego zaburzenia uchodziły znaczniejsze familie do poblizkiej Szwajcaryi, dokąd się także pani Sternburg ze swemi dziećmi udała. Przez wieść o śmierci męża, przez postrachy owych czasów i przykrości dość długiej podróży, tak dalece zapadła na zdrowiu, że z wielką tylko trudnością przybyła do Szwajcaryi. Czyste jednak powietrze alpejskie i troskliwa pieczołowitość córki, w krótkim czasie dawne wróciły jej zdrowie. Dwa lata upłynęły, jak nasza familia, przywyknąwszy do owej okolicy, żyła swobodnie pomiędzy Szwajcarami. Edward zaopatrywał kuchnię rozmaitą zwierzyną; lubił on polowanie i w krótce nie nazywano go inaczej, jak tylko śmiałym myśliwcem. Jeszcze przed wschodem słońca przechodził ze strzelbą na ramieniu żyzne a kwieciste pastwiska zmierzając ku ciemniejszym wierzchołkom, gdzie wielkie ściany ciemno zielonego koloru, porastające mchem i małą trawką, tu i owdzie samotną unoszą chatkę a rzadko tylko ujrzysz tu modrzew lub sosnę. Często wdrapywał się po skalistych ścieżkach aż ku wierzchołkom gór śnieżnych, gdzie mroźne, jakoby na brzegach morza lodowatego wieją wiatry, a lato pięć tylko trwa tygodni, gdzie nagie skały sterczą w głuchem milczeniu w kształtach najdziwaczniejszych. Droga staje się coraz trudniejszą, uciążliwszą i niebezpieczniejszą. Rozpadliny bezdenne, lekkim śniegiem lub cienką lodu skorupą pokryte, nieraz grobem się stają dla nieostrożnego wędrowca. Aż tu dotąd gonił nasz Edward za płochą giemzą, dzikim koziorożcem, lub czarnym niedźwiedziem, i rzadko tylko powracał bez zdobyczy.

Marya zaś szyła dla mieszczan; chcąc ile możności dopomagać nieszczęśliwej matce, która cały majątek utraciła przez niepomyślny proces, prowadzony przeciw chciwym swym krewnym. Przez taką niepomyślność do ostatniej przyprowadzeni nędzy, wspólnie ostatnich sił dokładać musieli, aby się uchronić przed zagrażającym niedostatkiem. Z przyczyny tej tak wielkiej straty zachorowała matka na nowo, i widocznie nikły zwątlone jej siły. Co tylko było drogiego i kosztownego musiano sprzedać; słabość pani Sternburg codziennie się zwiększała, a Edward i Marya przy wszelkich staraniach i zabiegach ledwo mogli najniezbędniejsze zaspokoić potrzeby, a nieszczęśliwi, ogołoceni z rzeczy najpotrzebniejszych, ostatnią nadzieję w Bogu pokładali.

Proboszcz tej wioski, mąż szlachetny, dowiedziawszy się nareszcie o opłakanym położeniu nieszczęśliwych, wspierał ich jak mógł; lecz śmierć nieubłagana i jego zabrała z tego świata. Żałowano powszechnie cnotliwego starca; cała okolica straciła w nim zacnego pasterza a familia Sternburg wszystko.

Czarne oszczerstwo i w szwajcarskie ścigało ich doliny. Zacięty nieprzyjaciel rotmistrza, nie mogąc się zemścić na nieboszczyku, myślał teraz nad sposobem, jakimby nabardziej mógł szkodzić pozostałej familii.

Był to człowiek życia rozwiozłego, który ślepo szedł za swemi namiętnościami. Jako młodzieniec dumny na swój majątek spadkiem nabyty, prosił był o rękę panny Karoliny, teraźniejszej pani Sternburg. Lecz gdy ta zamiast młodego szulera, obrała sobie poważnego Sternburga, zapalił się rozpustnik nieograniczonym gniewem. Dopóki jednak żył rotmistrz, ukrywał podłą swą zemstę, lecz wieść o śmierci kolegi szkólnego napełniła go wielką radością, i wszystkich używał sposobów, aby się pomścić na tej, która przed dwudziestu czterema laty nim pogardziła, co mu się też po części udało. Miał bardzo możnego krewnego w Szwajcaryi: ten uwierzył niegodziwemu potwarcy, a familia nasza coraz więcej traciła na dawniejszem znaczeniu. Mieszkańcy miasta Bern coraz mniej kupowali wyroby Maryi, i rzadko który Szwajcar pozdrowił Edwarda, spotkanego w górach na polowaniu.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

PAMIĘTNIKI
MAKRYNY MIECZYSŁAWSKIEJ,
KSIENI BAZYLIANEK W MIŃSKU.

(Dokończenie.)

A gdy na siódmy dzień otworzono więzienie nasze i pognano nas do zwykłej ciężkiej roboty, stróże nasi myśleli, że wskoczymy w studnią, a myśmy z własnej woli już i ten siódmy dzień bez napoju przetrwały, na uczynienie siedmiu boleści Najświętszej Panny.

W ciągu tych sześciu dni Wierowkin nachodził nas z dwoma popami namawiać do przyjęcia wiary i nowemi mękami grozić; a widząc naszę stałość, jeden z popów westchnął głęboko i wyszedł; mówią, że zapłakał, i już nie wrócił.

A Wierowkin widząc nas zdrowe i hoże, wściekał się od złości i wołał: Patrz, dobić ich nie mogę; ani jedzą ani piją, a zdrowe są i tłu-

ste. Patrz, każda ma djabła w sobie, który za nię cierpi.

Zimę i wiosnę następną (1842—1843) na zwykłych trudach przepędziłyśmy jeszcze w Połocku, a siostrom ślepym kazano tylko wełnę skubać i pończochy robić.

III.

Przepędzenie do Miadzioł. — Więzienie, męki i ucieczka nasza. 1843—1845.

Pod koniec wiosny 1843 r. usłyszałyśmy żołnierzy na dziedzińcu, a gdy nas wyprowadzono z więzienia, siostra Wawrzecka spostrzegłszy pod bramą kajdany, zawołała radośnie: droga, droga się nam ściele, oto bransoletki. Pokuto nas, jak zwykle do drogi, po dwie razem za nogi i za ręce: ślepe z temi, które widziały jeszcze, kaleki ze zdrowszemi, i tak popędzono. Myślałyśmy, że na Sybir. Zaśpiewałyśmy Bogu na chwałę pieśń do św. Michała Archanioła, żeby nas prowadził. Na promie, którym nas przez Dźwinę przewieziono, Wierowkin w około nas biegał niespokojny, pilnując, żeby która z nas w Dźwinę nie skoczyła. Co widząc siostra Wawrzecka, rzekła do niego:

— Jakiś ty głupi! czyż Dźwina to niebo, żebyśmy w nię skoczyć miały?

Za Dźwiną Wierowkin oddał nas pod rozkazy oficera moskiewskiego, który nas pod strażą podwójną prowadził! Każdą parę przedzielały dwie pary bagnetów na krzyż złożonych, jak to bywało i w dawnych pochodach naszych. Po dniach dziesięciu albo dwunastu przygnano nas tym sposobem do Miadzioł, miasteczka w gubernii Mińskiej, gdzieśmy zostawały pod władzą protopopa Daniła Skrypina, przełożonego nad czernicami, których wielkie mnóstwo zalegało klasztor zabrany na Karmelitach.

Na widok nasz zbiegły się i czernice i wraz ze Skrypinem wydziwiały się z nas, mówiąc: a jakie tłuste, jakie hoże, tak to was męczono? — Chwała Bogu, mamy sługi, mamy sługi! i klaskały w dłonie.

Więc zaraz wzięto nas do posługi i do robót wszelkich najbrudniejszych.

Na sromotę i na biedę naszę zastałyśmy w tym klasztorze dwóch biednych odstępców wiary: Wasilewskiego i Komorowskiego, Bazylianów, którzy zaraz byli powodem i sprawcami wielkiej biedy naszej, bo kradli i u żydów za wódkę zastawiali bieliznę, którą prałyśmy; za co nas bito.

Dwie Moskiewki lepszego serca, które tam do nowicyatu z Petersburga przybyły, widząc okrutne obchodzenie się z nami, i wywiedziawszy się o mękach, któreśmy wycierpiały, nie mogły znieść barbarzyństwa takiego i zaraz wyjechały, mówiąc Skrypinowi popowi: „Tu nie monaster, ale Sybir, — my wrócim do domu, a was Bóg ukarze."

Bito nas za to, że odjechały te dobre dusze, i za to, że nam cokolwiek zostawiły jałmużny, a najwięcej bito siostrę Wawrzecką, z którą te dobre dusze rozmawiały po francuzku o naszem prześladowaniu.

Pod jesień tegoż roku 1843 nadjechał Siemiaszko i tą razą już nie przychodził do nas, ale kazał przywołać do siebie siostrę Wawrzecką i mnie, a w obec mnóstwa czernic i dzieci, które tam były na wychowaniu, bardzo łagodnie, a nawet po polsku, pierwszy i ostatni raz po polsku, upominał i kusił, mówiąc:

— Co wam po uporze waszym? oto tyle was wyginęło. Nie lepiejże wam korzystać z łaski cesarskiej i uzyskać nagrodę Boga i od niego? Oto widzicie niewinne dziatki; oddam waszej pieczy anielskiej ich dusze, i oto nagroda gotowa (wskazując na coś leżącego na stole uwiniętego w papier), tylko przyjmijcie prawosławną wiarę.

— Jużeś doświadczył, odpowiedziałam, że nie straszno nam cierpieć dla Chrystusa; dla Niego żyjem i dla Niego umierać chcemy, Jemu służyć będziem i dla Niego, ale nie kacapkom schizmatyczkom, chyba na to, ażeby je ponawracać na naszę wiarę.

Wtedy z tłumu czernic wyszedł głos piskliwy:

— One przeklęte, one przeklęte!

Siemiaszko pogroził nam rózgami.

— Tego właśnie pragniemy zawołała siostra Wawrzecka.

A Siemiaszko zwróciwszy do niej mowę, rzekł:

— Wstyd robisz zacnej rodzinie twojej płaczącej nad uporem twoim, który doprowadzi cię do piekła.

— Komu ty gadasz o piekle, ty coś już w piekle i z piekła przychodzisz?

— Do kogo ty śmiesz mówić „ty"? — zapytał Siemiaszko.

— Do ciebie, chociaż nie wart jesteś wyrazu tego, którego my używamy do Boga, mówiąc mu np.: Boże, tyś miłosierny, że cierpisz takiego apostatę!...

Na on czas wśród pisku i wrzasku czernic wygnał nas po moskiewsku, zawoławszy: Pójdźcie precz, psie córki!

Po wyjeździe Siemiaszki musiałyśmy kamieniami rozpalonemi wypalać to miejsce, na którem stałyśmy przed Siemiaszką, parzyć je ukropem i skrobać, bo czernice wołały, żeśmy przeklęta krew polska.

Otóż na ochłodzenie tej krwi polskiej Siemiaszko obmyślił barbarzyński sposób. Kazał nas topić w jeziorze, nad którem leży Miadzioł (1843).

Po odczytaniu rozkazu Siemiaszki, przybrano nas w koszule z worowiny, z jednym tylko zaszytym rękawem na obie ręce, iżby nie można było władnąć niemi; grube powrozy nałożono na szyje nasze i tak, wyjąwszy ślepe, pognano nas wszystkie przez miasto do jeziora. Tłum żydówek i żydowskich dzieci pobiegł za nami, z początku śmiać się, ale potem płakać.

Nad jeziorem czekały nas czołna; zasiedli na nich oprawcy po dwóch na jednym, z trzecim przewoźnikiem; między oprawcami byli też niecni odstępcy, Wasilewski i Komorowski; ten ostatni szczególniej się pastwił, a obaj zawsze pijani.

Otóż każdy z oprawców ciągnął jednę z nas za sobą na powrozie do wody. Na samym wstępie Skrypin zwykłem witał nas kazaniem, ciągle powtarzanem: „Przyjmijcie wiarę, bo was jak szczenięta potopimy".

— Nie odstąpim Chrystusa, a ty djable top! — I ciągniono nas do wody za czołnami, które odpływały. Wprowadzono nas w wodę po pas i znowu daremne kazanie — i znowu dalej ciągniono aż po same usta. — Powróz namokły dusił tak, że nam guzy ogromne wystąpiły na szyi, które i dotąd jeszcze nie zginęły. Ciężar worowiny ciągnął ku ziemi. Siły ustawały; wszakże, jakeśmy mogły, jedna drugą popierałyśmy, aby nie upaść. Po czasie odciągniono nas na miejsce płytsze i znowu kazanie, i znowu nasza ostateczna odpowiedź — i znowu ciągną w głąb topić, a krzyczą: „top, jak szczenięta".

Żydzi w płacz, popi w śmiech, a czernice z góry poklaskiwały.

Tej męki po raz pierwszy było około trzech godzin.

W tym razie jedna tylko omdlała; ocucona rózgami dowlokła się do więzienia.

Żydostwo towarzyszyło nam z płaczem, z litości ciskając obwarzanki pod nogi nasze, aleśmy ich podjąć nie mogły; jedna śmielsza żydówka zarzuciła na szyję jednej z nas wielki sznur obwarzanków i ten tylko doniosłyśmy do więzienia naszego; w którym zostawiono nas przez całą noc w tychże obmokłych worach, zziębłe niezmiernie.

Woda z nas się lała, ziemia, na której leżałyśmy, stawała się błotem, od którego gniły dawniej poranione członki nasze. Ztąd niezmierne niektórych kalectwa. Pierwsza kąpiel taka była w sobotę, druga we wtorek następny, trzecia w drugą sobotę, czwarta we środę po niej, piąta w trzecią sobotę, szósta i ostatnia w poniedziałek następny.

W trzeciej kąpieli dwie zatonęły; jedna niestety przy mnie, Joachima Wojewódzka; a tu ratunku dać nie można było, bo ręce w jednym rękawie zaszyte, jakby związane. Druga Augustyna Romanowska.

Na ten widok jakby sądny dzień powstał pomiędzy żydami.

Gdy pierwsza tonęła, wołałam na Komorowskiego:

— Ratuj ją, już tonie; — a on odpowiedział:

— Niech zdycha!

I ciągnął ją już nieżywą na powrozie aż do brzegu. Popi bluźnią i naśmiewają się; żydostwo płacze, a my Bogu dziękujemy i dusze sióstr naszych Bogu polecamy.

Moskale zakopali je zaraz przy brzegu a potem przyszli do więzienia naśmiewać się, mówiąc:

— Pogrzebaliśmy siostry wasze, zapłaćcie i dajcie nam na wódkę.

Tejże nocy wierni Pańscy odkopali i ze czcią pogrzebali siostry nasze, a Moskale mówili:

— Djabeł je wyniósł.

Za czwartą kąpielą Hortulana Jakubowska mdlała bardzo; ocuciłyśmy ją zaledwie, ale za piątą i ta utonęła.

Przy piątej i szóstej kąpieli już mrozy ścinały; a od dalszych kąpieli uwolnił nas lament i łajanie żydów, którzy wielce miłosiernymi w tym

i podobnych razach nam się okazali. — Boże nawróć ich i zbaw!

Nadeszła zima bardzo ciężka; rany, pootwierane kąpielami, pomarzły, a ztąd kalectwa.

Pozwalano nam chodzić pod strażą za drzewem do lasu; ale brnąć chorym w śniegu, dźwigać drzewo, upadać, ranić się, wszystko to kalectwa do kalectwa przydawało. W więzieniu zimno albo dymno, a zawsze prawie głodno.

W tej pierwszej zimie Marta Balińska zaczadziała. Oto dzieje tej i następnej jeszcze cięższej zimy. Ztąd siedm sióstr skaleczało zupełnie, jako to:

Aniela Brochocka,
Wincenta Brochocka, siostry rodzone.
Dorota Januszewska,
Regina Sadkowska,
Kornela Jatowtówna,
Kajetana Koziełłówna,
Kunegunda Hryniewiczówna,

Dodać do tego ośm ślepych na oba oczy po przygodzie Połockiej:

Justyna Szlegelówna,
Aleksandra Pieczorówna,
Salomea Botwidówna,
Apolonia Domejkówna.
Bonawentura Gedgoftówna,
Norberta Jarcewiczówna,
Krystyna Huwaldówna,
Prakseda Zajkoska.

Pomimo tego znędzenia obciążano nas wszystkie robotą nad miarę.

Kaleki na nogi pracowały rękami, roboty różne ręczne im zadawano.

Ślepe zaś skubały wełnę, lub robiły pończochy dla żydówek, które nas karmiły.

Druga zima była, jak powiedziałam, przykrzejsza od pierwszej: (1844—1845).

W tejże zimie siostra nasza Stefania Przejałgowska, poszedłszy z nami za drzewem do lasu, umarzła; odniesłyśmy ją na pół żywą do domu, a tejże nocy skonała. Byłyśmy odtąd prawdziwym szpitalem Łazarzów; cztery tylko z pomiędzy nas były zdrowsze i mogły przy innej robocie cokolwiek usłużyć ślepym i kalekom, marznącym a jęczącym, ale bardzo cierpliwie.

Zawsze grożono nam Sybirem, a gdy szło ku wiośnie, zaczęto mówić, że już przyszedł rozkaz cesarski, aby nas w Sybir zapędzić (1845), a między nami były tylko cztery, któreby wyjść mogły.

Bóg nam otworzył drzwi więzienia, dając natchnienie nam czterem, abyśmy uciekły.

Nadarzyła się ku temu zręczność bardzo dobra, gdy z powodu imienin protopopa wszyscy popi, diaki, stróże, czernice, wszystko to piło przez trzy dni ciągle, tak że na trzeci dzień już nawet jeść nie gotowano; wszyscy pili, a upiwszy się, spali jak zabici.

My cztery przez ten czas rozkułyśmy pęta nasze i wybrałyśmy kłodę sękowatą, którą po trzecim dniu w nocy przystawiłyśmy do muru. Ja pierwsza przy pomocy Bożej wyszłam po sękach na mur, spojrzałam w dół bardzo głęboki, jak z trzeciego piętra! Zapytałam się P. Boga, czy wola jego, abym skoczyła; uklękłam, przeżegnałam się i w imię Boże puściłam się na ziemię. Bóg pobłogosławił, padłam bokiem w śnieg głęboki i wstałam bez szwanku. Za mną Euzebia Wawrzecka, potem Klotylda Konarska. Ireny Pomarnackiej długo nie było widać; trwożyłyśmy się o nię; aż po czasie coś zaszumiało i wraz głos wyraźny: „Panie Boże bądź pochwalon"! które to słowa siostra Irena Pomarnacka lecąc wymówiła. Zdrowo wstawszy, pokłoniła się nam w moskiewskim płaszczu, który, gdyśmy już były na tej stronie, zdarła z pijanego Moskala, aby się miała czem okryć od zimna.

Działo się to jakoby z północy, z 31-go Marca na 1-go Kwietnia 1845.

Tak Pan Bóg chciał. Niechże się opiekuje biednemi siostrami naszemi ślepemi i kalekami, które o naszem uciekaniu zgoła nie wiedziały, bośmy nie miały serca odstąpić ich, gdyby nas przy sobie zatrzymać chciały. A jednak trzeba było uciekać, bo tak Bóg chciał.

Słyszałam, iż dwie kaleki wkrótce umarły w więzieniu jeszcze, a że resztę zabrano do jakiegoś szpitala po długim uporze Siemiaszki, który chciał koniecznie, aby przedtem przyjęły komunią św. z rąk popa; czego dokazać nie mogąc, wymagał przynajmniej, aby im nigdy księdza nie przyprowadzono.

Otrząsnąwszy się ze śniegu, poszłyśmy na gruzy dawnej kapliczki. Tam odmówiłyśmy wspólne pacierze nasze, wezwałyśmy pomocy Trójcy św. i Najświętszej Panny, poleciłyśmy się Aniołom Stróżom naszym i Patronom świętym, a zapłakawszy razem, puściłyśmy się każda z osobna ku granicy pruskiej, ażeby nas nie tak łatwo schwytano, i ażeby choć jedna z nas mo-

gła u nóg Ojca św. złożyć jęk i płacz ludu naszego męczonego za wiarę, a wołającego o przywrócenie kapłanów jęczących w więzieniach, zapędzonych na lody Sybirskie, pomordowanych okrutnie; płacz i jęk ludu wołającego o podniesienie świątyń Pańskich w gruzy rozrzuconych, albo co gorsza schizmą splugawionych.

Błąkałam się około trzech miesięcy po puszczach, w głodzie, w pragnieniu, w zimnie, w złych przygodach, ścigana, chwytana, a zawsze bezpieczna przez Opatrzność Bozką; dostałam się nakoniec do granicy pruskiej.

Ztamtąd przez Francyą przybyłam do Rzymu, gdzie na rozkaz Ojca św. opowiedziałam to wszystko, co z siedmioletniego prześladowania zapamiętać mogłam, prosząc, aby nie zapisywano tych wszystkich szczegółów, któreby na nowe prześladowanie dobre dusze narazić mogły. Tym zaś poczciwym duszom, które Boga kochają, a z tej miłości i nad nami litość miały, niech Bóg nagrodzi, nie tylko za wszystko dobre, które nam pomimo niesłychanych trudności postrachów, niebezpieczeństw i srogości uczynić zdołały, ale nadto za to wszystko, co nam dobrego dla miłości Bożej uczynić chciały.

A za wszystko niech będzie pochwalon Bóg w Trójcy jedyny, któremu cześć i dziękowanie na wieki. Amen.

* * *

Niechże choć słowo powiem o naszej kochanej a czcigodnej Matce Jenerałce, Eufrozynie Księżniczce Giedyminównie z Wielkich Książąt Litewskich, osobie wielce pobożnej a miłosiernej. Oprócz wielkich bogactw, które wniosła do zakonu naszego, utrzymywała własnym kosztem stół codzienny na czterdziestu ubogich, którym też posługiwała sama; a zaś cały zakon żywiła duchem prawdziwie Bożym, sama będąc napełnioną darami Ducha św., a prowadząc żywot ze wszech miar przykładny a wielce pokutny. Przy wstąpieniu mojem do zakonu Bazylianek, temu lat 38, Eufrozyna Giedyminówna była Ksienią Jenerałką; mieszkała w Orszy, zwykłem miejscu pobytu Ksieni Jenerałki. W chwili rozpoczęcia prześladowania w rcku 1838 przeszło 80 lat mając, przyjęła je i wytrwała z stałym umysłem a mężnem sercem z wielką liczbą zakonnic, które zagrzewała przykładem swoim. Nakoniec po różnych mękach, które liczbę jej dzieci znacznie umniejszyły, w roku zda mi się 1843, z resztą sióstr pędzona pieszo w kajdanach na Sybir, umarła w drodze. Dusza jej stanąwszy przed Trójcą Przenajświętszą, dla której tyle wycierpiała, uprosiła zapewne całemu zakonowi Bazylianek pod berłem cesarza Mikołaja prześladowanych, w liczbie 245, łaskę wytrwania w wierze świętej. Pomimo siedmioletnich a tak ciężkich męczarni, ani jedna z nich nie odstąpiła wiary świętej i Kościoła świętego, Chrystusa Pana i Namiestnika Jego. Za co Bogu samemu niechaj będzie chwała.

MAKRYNA MIECZYSŁAWSKA.

My niżej podpisani oświadczamy, że niniejsze opowiadanie Matki Makryny, w obec niej spisane, czytaliśmy, i poświadczamy, że we wszystkich szczegółach zgodne jest zupełnie z tem, co w obec nas mówiła.

X. Maksymilian Ryłło,
Rektor Propagandy Rzymskiej.

X. Aleksander Jełowicki,
Rektor św. Klaudyusza w Rzymie.

X. Alojzy Leitner,
Teolog z Propagandy Rzymskiej.

SPIS ABECADŁOWY

Bazylianek, które krew swoję dały za wiarę, a których imiona w niniejszem opowiadaniu są objęte.

1. Babiańska Kaliksta, zgruchotana murem.
2. Balińska Marta, zaczadziała.
3. Baniewiczówna Kazimiera, zgruchotana murem.
4. Bieniecka Teresa, umarła w pomięszaniu zmysłów.
5. Botwidówna Salomea, ma wyrwane oczy.
6. Brochocka Anicetta, skaleczała.
7. Brochocka Wincenta, skaleczała.
8. Domejkówna Apolonia, ma wyrwane oczy.
9. Dowgiałówna Stanisława, pod rózgami skonała.
10. Downarówna Baptysta, spalona w piecu.
11. Filihauzerówna Elżbieta, umarła w pomięszaniu zmysłów.
12. Gedgoftówna Bonawentura, umarła w pomięszaniu zmysłów.
13. Giedyminówna Eufrozyna, Ksieni jenerałka, umarła w drodze do Syberyi.
14. Głębocka Onufrya, skonała od rózg.

15. Górska Kolumba, po rózgach na taczce skonała.
16. Grotkowska Józefata, zgruchotana murem.
17. Grotkowska Nepomucena, polanem (drewnem) zabita przez Ihumenę.
18. Gurzyńską Eufemia, gliną żywcem zagrzebana.
19. Gurzyńska Józefa, zgruchotana murem.
20. Hołyńska Bazylissa, skonała od rózg.
21. Hryniewiczówna Kunegunda, ma wyrwane oczy.
22. Huwaldówna Krystyna, ma wyrwane oczy.
23. Jakubowska Hortulana, utopiona.
24. Januszewska Dorota, skaleczała.
25. Jarcewiczówna Norberta, ma wyrwane oczy.
26. Jatoftówna Kornela, skalęczała.
27. Ilgocka Rozalia, cebrem zgruchotana.
28. Konarska Klotylda, jest w drodze do Rzymu.
29. Korminówna Liberata, na śmierć rozszarpana.
30. Korycka Katarzyna, żywcem gliną zagrzebana.
31. Koziełłówna Kajetana, skaleczała.
32. Krysztalewiczówna Kleofa, zgruchotana murem.
33. Kuleszanka Genowefa, zgruchotana murem.
34. Kwintówna Irena, żywcem gliną zagrzebana.
35. Laudańska Nepomucena, cebrem zgruchotana.
36. Lauszecka Rozalia, skonała w kościele.
37. Meduniecka Rozalia, zgruchotana murem.
38. Mieczysławska Makryna, Ksieni Mińska, znajduje się w Rzymie.
39. Narbutówna Natalia, skonała od rózg.
40. Pieczorówna Aleksandra, ma wyrwane oczy.
41. Pomarnacka Irena, jest w drodze do Rzymu.
42. Przejałgowska Stefania, na wpół zmarła, zaczadziała.
43. Reutówna Scholastyka, na śmierć rozszarpana.
44. Romanowska Augustyna, utopiona.
45. Rożańska Honorata, Ksieni Płocka, umarła w więzieniu.
46. Rypińska Zuzanna, skonała od rózg.
47. Sadkowska Regina, skaleczała.
48. Sieciecka Gertruda, cebrem zgruchotana.
49. Sielawianka Kolleta, po rózgach zamordowana.
50. Sielawianka Onufrya, zgruchotana murem.
51. Siemniszkówna Maryancella, skonała od rózg.
52. Szczerbińska Serafina, skonała od rózg.
53. Szlegelówna Justyna, ma wyrwane oczy.
54. Tarnowska Klotylda, zgruchotana murem.
55. Turówna Justyna, na śmierć rozszarpana.
56. Tymińska Euzebia, Ksieni Witebska, umarła w więzieniu.
57. Tyzenhauzówna Elźbieta, żywcem w glinie zagrzebana.
58. Wawrzecka Euzebia, jest w drodze do Rzymu.
59. Wojewódzka Joachima, utopiona.
60. Zajkowska Prakseda, ma wyrwane oczy.
61. Żebrowska Klementyna, żywcem w glinie zagrzebana.

(Koniec.)

TANIE LECZENIE DOMOWE ROZMAITYCH CHORÓB.

(Ciąg dalszy.)

Na spuchłe gardło w ślinogorzu.

Weźmij gniazdo jaskółcze, i potłucz je, przydaj łajen gołębich i nieco miodu praśnego; także cybuli w gorącym popiele upieczonej, nadto trochę świeżego mleka, to wszystko zmięszawszy przysmaż i jak nieco przestygnie, obłóż gardło, a uznasz pewny ratunek.

Sposób warzeniu
Tyzanny
w czasie wielkiej gorączki.

Weźmij *jęczmienia* pół garści, przydaj korzenia *szczawiowego, podróżnikowego* po 2 uncye, *rodzenków* 4 uncye, *anyżu i kopru włoskiego* i nasienia dzięglu, *Angelica* zwanym, po pół uncyi, *skórek cytrynowych* uncyę *Cremor tartari* uncyę, na to wlej wody 6 kwart, gotuj dłużej jak godzinę, aż się jęczmień rozpęknie, potem przecedź i schowaj. Daje się popijać na zimno, przylewając za każdą razą jakiego syropu.

Na kolki w bokach.

Weźmij kieliszek gorzałki i pół kieliszka dobrego octu, to zamięszawszy daj wypić. C. d. n.